



Polska - pożegnanie z demokracją?

**Słowo przestrogi
(oby nie było za późno)**

Cezary Obracht-Prondzyński



Zacząć trzeba od **kryzysu politycznego**, który trwa od dawna, ale stale się pogłębia i przybiera formy zdecydowanie destrukcyjne. Ma on kilka elementów składowych, a jednym z najistotniejszych jest dramatyczny regres parlamentarizmu. Sejm przestał być miejscem, gdzie ucierają się stanowiska, prowadzi się negocjacje, gdzie ujawniane są i rozstrzygane sprzeczności interesów. Przede wszystkim zaś nie jest miejscem inicjowania i prowadzenia debaty publicznej. Lista przejawów tegoż regresu byłaby długa, ale najbardziej dojmująca, zasmucająca i szkodliwa jest niechlujność stanowienia prawa, przy częstym braku poszanowania dla reguł, norm i paragrafów. Obrazy nocnych głosowań, blokady Sejmu, przenoszenia obrad w inne miejsca, przepychania ustaw przy wymuszonym milczeniu i bez debaty itp. – wszystko to przejdzie do naszej historii jako miara upadku i celowego zepsucia najważniejszej instytucji systemu demokratycznego. Destrukcyjny jest również fakt, że tego typu praktyki „rozlewają się” na inne sfery życia publicznego. Mówiąc dosadnie: jaki pan, taki kram...

Z tym też wiąże się głęboki **kryzys prawno-ustrojowy**. Jego przejawem jest: selektywne przestrzeganie (lub nie przestrzeganie) norm konstytucyjnych, wkraczanie instytucji na teren, na którym nie mają one kompetencji do podejmowania decyzji (uzurpacje jak w przypadku ostatniego orzeczenia TK w sprawie uchwały Sądu Najwyższego), dowolne i bezkompromisowe odbieranie niektórym z instytucji ich uprawnień przez władze polityczne (np. PKW), systemowe osłabianie pozycji organów konstytucyjnych i ich dyskredytowanie (SN), czasami ich dublowanie (KRRiT – RMN), delegowanie osób skompromitowanych na kluczowe stanowiska, a nawet „obsadzanie” ich z naruszeniem prawa (jak w TK), nie mówiąc już o stałym nacisku na podporządkowanie instytucji wymiaru sprawiedliwości władzy politycznej. Wszystko to prowadzi do likwidacji zasady trójpodziału władzy oraz zmierza ku fundamentalnej zmianie reguł, określających funkcjonowanie naszego państwa osłabiając jego autorytet i rujnąc funkcjonalność.

O tym, że unieważnia się reguły demokratyczne świadczy, nie pozostawiająca żadnych złudzeń, manipulacja wyborami prezydenckimi, do której używa się narzędzi prawnych i ustrojowych. Nic tu nie jest w porządku i jeśli gdzieś ujawnia się z całą mocą zasada „im więcej chaosu tym więcej nam wolno” to właśnie tutaj.

Kryzys polityczny oraz prawno-ustrojowy „współgrają” ze sobą w obłądnym „tańcu”, w którym nie ma reguł, nie obowiązują żadne kroki, ani nikt nie przestrzega rytmu.

Do tego należy dodać bardzo głęboki **kryzys usług publicznych**, w zasadzie w każdej dziedzinie – edukacja, transport publiczny, ochrona zdrowia, media publiczne, mieszkalnictwo, wsparcie dla niepełnosprawnych itd. Z całą mocą się to ujawniło gdy nadszedł kryzys epidemiczny, stając się m.in. jednym z kluczowych elementów pogłębiających **kryzys zdrowotny**, z którym borykamy się od lat. Ileż wokół tego problemu toczono sporów? Ileż wskazywano pilnych i jeszcze pilniejszych potrzeb: onkologia, psychiatria (zwłaszcza dziecięca), zdrowotne skutki zanieczyszczonego środowiska (głównie powietrza) itd. Jakie rozwiązania zaproponowała władza (już nawet pomijając 2 mld przekazane dla TVP)? A teraz jeszcze doszła epidemia...



Reakcja na te skumulowane kryzysy w usługach publicznych, za które władza jest szczególnie odpowiedzialna, pokazuje, że działania są wymuszone, pomysłów brak, nie ma czytelnej hierarchii ważności, jest niemal wyłącznie działanie reaktywne (przysłowiowe „gaszenie pożarów” nie rozwiązujące żadnego z problemów). W zamian za to mamy mnóstwo propagandowych zakłęb (dość przypomnieć „programy” budowy mieszkań czy przywrócenia komunikacji autobusowej), które zastępują rzetelną politykę informacyjną.

Jakby tego było mało doszedł jeszcze, wywołany epidemią, **kryzys ekonomiczny** jakiego nie doświadczyliśmy od przełomu lat 80. i 90. Jesteśmy dopiero na jego początku, nie znając ciągle ani skali, ani możliwego przebiegu. Jedno wydaje się być wszakże pewne – oto skończył się czas stabilności i przewidywalności. Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy krytykowali polską transformację, przekonanie, że stabilizacja makroekonomiczna jest wartością cenną dla państwa i społeczeństwa było powszechne. Nauczyliśmy się tego po traumatycznych doświadczeniach inflacji z końcówki lat 80. i kryzysu ekonomicznego, z którego musieliśmy się dźwigać (o czym dzisiaj zdaje się wielu już nie pamiętać).

Minione lata pokazały jednak, że ten konsensus się załamał. I nie idzie tu już nawet o rosnącą pokusę ręcznego sterowania gospodarką przez polityków oraz uznaniowość w alokacji środków, o szaleńczą karuzelę stanowisk w spółkach Skarbu Państwa i utratę przez nie wartości, o nacjonalizację banków i załamanie inwestycji, o brak efektów w zachęcaniu Polaków do oszczędzania oraz porywanie się na „strategiczne” mega-inwestycje, których sensowność ekonomiczna jest więcej niż wątpliwa, nie wspominając już o kompromitacji związanej z „milionem aut elektrycznych” czy z podobnymi „innovacyjnymi” projektami, o których słyszymy od lat i z których nic kompletnie nie wynika poza propagandowym biciem piany...

Ważniejsze jest to, że przez minione lata stale podnoszono postulat, aby szykować się na trudne czasy! Aby rozsądnie korzystać z dobrej koniunktury, nie szastać publicznym groszem na lewo i prawo, nie marnotrawić dochodów itd. Jakże często w reakcji na te postulaty ze strony kluczowych osób z obozu władzy padały lekceważące odpowiedzi, że są one bez sensu, bo przecież na wszystko nas stać, na wszystko wystarczy, że oczywiście „damy radę”... Jakże głośno władza mówiła: jesteśmy najmądrzejsi i wiemy najlepiej, a w ślad za tym z jaką determinacją deprecjonowano wszystkich tych, którzy mówili i ostrzegali: kiedyś koniunktura się skończy, a my będziemy nieprzygotowani. Jakże głośno podważano kompetencje różnego rodzaju ekspertów i polityków gospodarczych, wątpiąc nie tylko w ich dobrą wolę, ale nawet w ich patriotyzm. Mówiąc krótko – każdy, kto ośmielał się mieć inne zdanie o jakości polityki gospodarczej, realizowanej przez aktualną władzę, był uznawany za głupiego, wrednego i wrogiego.

Aż przyszła epidemia i wszystko zweryfikowała. Boleśnie. Tylko jak bardzo zaboli tego jeszcze nie wiemy. Widzimy jednak już teraz jak padają firmy, likwidowane są miejsca pracy, jak podważane są ekonomiczne podstawy życia Polaków. Ludzie niekiedy tracą dorobek całego życia. To, czego dorobiliśmy się jako społeczeństwo w minionych trzech dekadach dziś staje pod wielkim znakiem zapytania. Wszystkie

badania pokazują, jak narasta pesymizm i lęk przed przyszłością, związany z bezrobociem, rosnącą inflacją, zadłużeniem, spadkiem konsumpcji itd.

A tymczasem, przyglądając się polityce gospodarczej aktualnych władz, widać dojmująco, że także w tej sferze obowiązuje zasada działania poprzez chaos. Spójrzmy choćby na kolejne „tarcze” i ich permanentne poprawianie, zmieniające się biurokratyczne procedury (i ich nadmiar), nieprecyzyjne zapisy prawne oraz ich nieprzewidywalność (wczoraj przedsiębiorcy słyszą, że będzie taki zapis, gdy rano się budzą jest coś zupełnie innego), selektywne traktowanie podmiotów gospodarczych, pomijanie wielu sfer, które również dają zatrudnienie i realizują ważne zadania publiczne (np. organizacji pozarządowych). W dodatku ciągle brak rzeczywistych efektów pomocy ze strony państwa (zwłaszcza jeśli to porównać z naszymi sąsiadami i to nie tylko Niemcami). Skala tej pomocy jest po prostu żenująca. Mijają kolejne dni i tygodnie, ale z zalewu słów wypowiedzianych na konferencjach prasowych wiele nie wynika. Im bardziej władza się napina i rzuca gigantyczne kwoty, tym bardziej utrwała się wrażenie nieporządku, nieprzewidywalności, braku pomysłów na przyszłość. Wszystko to w konsekwencji podważa zaufanie do państwa.

Ale to jeszcze nie jest pełna lista kryzysów.

Bo przecież za progiem stoi już **kryzys energetyczny** a zwłaszcza **kryzys klimatyczny** (choć w materiałach dydaktycznych firmowanych przez MEN możemy przeczytać, jakie to błogostawione skutki na nas spłyną...). Czyż potrzebujemy jeszcze czegoś więcej niż obraz rzek wysychających już wiosną i płonących unikatowych obszarów nad Biebrzą? A przecież wiemy, że z pewnością takich symptomów będzie więcej z każdym rokiem. Jak się do tego przygotowaliśmy? Jakie są efekty działań władz w minionych latach w zakresie poprawy stanu środowiska, walki ze smogiem, powszechnej ochrony zasobów wodnych, dbania o lasy, zwłaszcza te najcenniejsze i najbardziej unikatowe? Można powiedzieć, że symbolem kompletnej ekologicznej porażki rządów PiS-u jest wycinana Puszcza Białowieska i niekontrolowany wwóz setek tysięcy ton toksycznych śmieci zza granicy, które następnie są wypalane, zatruwając środowisko i ludzi.

Dodać do tego trzeba, że tkwimy też w głębokim **kryzysie demograficznym** i związanym z nim **kryzysie migracyjnym**.

Zapowiadana szumnie polityka wzmacniająca prężność demograficzną społeczeństwa polskiego nawet nie legła w gruzach, bo nigdy się nie wyłoniła. Ktokolwiek mówił, że proste transfery finansowe, choć ważne, to nie mogą zastąpić polityki demograficznej był uznawany za wroga. Pomysłów starczyło na, motywowane ideologicznie, wyrzucenie do kosza programów wspierania in vitro oraz na stałe zakusy ograniczenia praw kobiet. Jeśli to miało przyczynić się do tego, że Polki będą rodziły więcej dzieci, a polskie rodziny zdecydują się na większą ich liczbę to tylko gratulować wyobraźni!

W przypadku polityki migracyjnej nie było wcale nic lepiej. Z jednej strony przyjechała do nas ogromna rzesza pracowników zza wschodniej granicy, co mocno wsparło gospodarkę. Tyle tylko, że gdy tylko

zaczęła się epidemia znaczna ich część wyjechała. Także dlatego, że przez kilka lat (!) rząd nie był w stanie wypracować sensownej, spójnej oraz przewidywalnej polityki migracyjnej i integracyjnej. Nie był nawet w stanie zadbać o to, aby efektywnie realizować postępowania administracyjne, związane z legalizacją pobytu w ramach już obowiązującego prawa. Kolejki pod urzędami wojewódzkimi pokazywały jak sprawne i przyjazne jest państwo polskie. Prośby pracodawców o zmianę polityki migracyjnej i usprawnienie procedur były notorycznie ignorowane. Bo władza wolą straszyć Polaków wizją nadciągających hord uchodźców. A że to było ze szkodą dla gospodarki? Że zainfekowało nasze społeczeństwo nienawiścią i przyczyniło się do wzrostu nastrojów ksenofobicznych? Kto by się tym przejmował, jeśli można było z tego czerpać korzyści polityczne?

Wszystko to sprawia, że niestety obserwujemy symptomy narastającego **kryzysu społecznego**. Najmocniejszym jego przejawem jest dramatyczna wzajemna nieufność. Wydawać by się mogło, że już niżej upaść nie możemy. A jednak. Przyczyną zaś i świadectwem tegoż jest permanentny **kryzys zaufania** publicznego – państwo/władza nie ufa nikomu. Nawet wśród liderów obozu rządzącego mamy wiele świadectw, jak bardzo nie ufają sobie oni wzajemnie. Co jednak istotniejsze, władza przede wszystkim nie ufa obywatelom, z czego bierze się skłonność do rozbudowywania aparatu kontroli, nadzoru, inwigilacji. Obywatele odplacają tym samym i również prezentują głęboką nieufność do władzy.

Ten **kryzys relacji między państwem a obywatelem** pogłębiany jest przez to, że dziś obywatel staje w sytuacji, gdy może być albo wyznawcą, albo wrogiem, albo niemową. Ten pierwszy musi wyzbyć się krytycyzmu, zatracić zdolność myślenia kategoriami interesu ogółu oraz oduczyć się przestrzegania reguł, procedur i norm prawa. Ten drugi może jedynie radykalizować się w proteście. Ten trzeci zaś musi zamilknąć w niemym przerażeniu lub tkwić w obojętności. Wychodzi więc na to, że albo jesteś wyznawcą, albo buntownikiem, albo cieniem – na pewno jednak nie możesz być aktywnym i krytycznym obywatelem. Można by jakoś temu zaradzić, gdyby skutecznie i efektywnie funkcjonowała agora publiczna. Niestety, jednym z najbardziej dojmujących kryzysów ostatnich lat jest **kryzys komunikacji społecznej**. Nigdy za bardzo nie byliśmy kulturą dialogiczną, ale udało się nam po 1989 r. stworzyć podstawy instytucjonalne i pewną kulturę publicznej rozmowy. Jednak władza, która nastąpiła po 2015 r., celowo i świadomie zastąpiła dialog i komunikację przekazem jednokierunkowym, o niezwykle natężeniu propagandowym i skłonnościach do manipulacji. Symbolem tego jest rola, jaką odgrywają tzw. media publiczne. Ale też wielce wymowne jest to, co wprowadzono w specjalnym ustawodawstwie „epidemicznym”, dając przykładowo władzy politycznej prawo do manipulowania składem Rady Dialogu Społecznego, której rola i tak została już wcześniej zmarginalizowana. Przykładów blokowania, a nawet unieważniania mechanizmów dialogu społecznego, jest o wiele więcej.

Wobec takiej sekwencji kryzysów rozsądek nakazywałby ograniczać ich zakres, a przynajmniej nie dodawać kolejnych. Problem tylko w tym, że mamy też **kryzys zdrowego rozsądku** w obozie władzy. Wszystkie bowiem nasze kryzysy są pogłębiane, rozogniane i podsycane. Dawne trawią nas w najlepsze (najgorsze), a nowe dochodzą. Żaden z przywołanych powyżej nie został przewyżniony i dotyczy to

także epidemicznego. Ujawnia on zresztą wszystkie bolączki naszego życia publicznego. Walka z nim wymaga przede wszystkim jawności i rzeczywistego współdziałania. Czy za jego przejaw można uznać groźby kierowane wobec lekarzy i innego personelu medycznego, że zajmie się nimi prokuratura? Jak potraktować wypowiedź Ministra Edukacji, który pogardliwie stwierdził, że teraz to nauczyciele będą mogli pokazać, że potrafią nie tylko strajkować i żądać pieniędzy? A co myśleć o wiceministrze zdrowia, który wskazał na lekarzy i pielęgniarki jako przyczynę zakażeń, bo po prostu są niechlujni? No i o czym świadczy wypowiedź J. Kaczyńskiego z głośnego wywiadu, gdy na stwierdzenie, iż wybory odradzają eksperci i lekarze, znajdujący się na epidemiach, stwierdził, że są to osoby motywowane politycznie?

Jak w świetle tego myśleć o rzeczywistej chęci współpracy z różnymi siłami politycznymi czy też samorządami w celu poradzenia sobie z kryzysami, które są groźne dla naszego państwa i wspólnoty narodowej? Tymczasem ich natura jest taka, że nie da się rozwiązać tych kryzysów „w pojedynkę” i niezależnie od siebie czy „w zastępstwie” (że oto jak poradzimy sobie z kryzysem ekonomicznym to już polityczny czy ustrojowy „znikną”). One są ze sobą ściśle powiązane i wzajemnie się warunkują. W tej sytuacji zadaniem władzy publicznej winno być identyfikowanie źródeł kryzysów, aby je „wygaszać”. Następnie osłabianie mechanizmów, które je generują i intensyfikują. A wreszcie szukanie rozwiązań, zwracając szczególną uwagę na współpracę z tymi, którzy się znają, wiedzą, potrafią i chcą się angażować.

U nas, niestety, to **władza jest źródłem konfliktów** i w ogromnym stopniu je generuje. Nie tylko nie blokuje mechanizmów kryzysowych, ale wręcz je „smaruje” i „dokłada do pieca” (jakże złowrogo brzmią dziś słowa „niech wyjeżdżają” skierowane do młodych lekarzy!). Jednocześnie zupełnie nie radzi sobie z ich rozwiązywaniem. Dlatego, że nie jest do tego przygotowana koncepcyjnie, ale przede wszystkim z racji ograniczeń mentalnych. Jak bowiem może być mowa o współpracy i współodpowiedzialności skoro istotą jej działania jest konflikt i antagonizowanie? Kryzysy generują chaos, który jest jeszcze pogłębiany (doskonale widać to w sferze prawno-ustrojowej), także po to, aby pokazywać następnie, że władza nad nim panuje i zarządza skutecznie społecznymi procesami. Jest silna i ma moc sprawczą. Chaos jest też wzmacniany, bo tworzy warunki do tego, aby wprowadzać rozwiązania nadzwyczajne i tworzyć „nową normalność”, w której ludzie już się nie dziwią temu, co jeszcze kilka lat temu byłoby nie do wyobrażenia i wzbudzałoby silny opór.

Problem tylko w tym, że w obliczu rosnącej złożoności świata oraz nawarstwiania się zjawisk kryzysowych chaos z nich wynikający przestaje być kontrolowalny. Mamy więc coraz częściej do czynienia z pozorami zarządzania kryzysami, co przykrywa się propagandowym puszeniem. Nie jest ono jednak w stanie ukryć jeszcze jednego: dramatycznego **kryzysu przywództwa** w naszym państwie. Obserwacja grona tych, którzy dzisiaj odpowiadają za bieg spraw publicznych musi prowadzić do depresji każdej zdroworozsądkowo myślącej osoby. Oto stają nam przed oczyma figury liderów czasu kryzysu i chaosu – smutne i drażniące, kłamliwe i żenujące.

Oczywiście, nigdy takich postaci nie brakowało! Teraz jednak pojawia się nowa „jakość” zachowań, które

wiele mówią o sytuacji, w jakiejś się znaleźliśmy. Choćby „występy” A. Dudy na TikToku w samym sercu rozpędzającej się epidemii, gdy ludzie tracą dorobek życia, firmy padają, rośnie lęk i obawa o przyszłość itd. Albo wypowiedź szefa GIS, że mamy sobie włożyć „łód do majtek”, a nie panikować, bo przecież epidemia nam nie straszna. Albo premier stwierdzający z mównicy sejmowej, że Unia Europejska nic nie zrobiła i nie pomaga, jednocześnie korzystając z przyznanych funduszy.

Albo Minister Zdrowia wyśmiewający noszenie masek, po czym z marsową miną nakazujący ich złożenie. Głoszący przeciw obowiązkowemu, systematycznemu testowaniu personelu medycznego. I deklarujący, że nie widzi żadnego problemu ani ryzyka związanego z głosowaniem korespondencyjnym. Nie można w takiej sytuacji nie zapytać: co to za przywódca na czas epidemii, który z jednej strony nawołuje i nakazuje pozostanie w domach, zabrania wejścia do lasów, zamyka gospodarkę – a wszystko to w imię bezpieczeństwa i ograniczenia ryzyka zachorowań. A z drugiej strony beztrąsko stwierdza: możecie iść głosować, możecie pracować w komisjach, możecie roznosić materiały wyborcze itd. bo nie ma żadnego zagrożenia!

Jeśli nie chcemy uznać, że to jakieś schizofreniczne rozdwojenie jaźni to musimy zapytać: w którym momencie minister nie mówi prawdy, manipuluje nami i przedkłada interes polityczny nad dobro społeczne?

W tym też kontekście należy stwierdzić, że Polacy się podporządkowali narzuconym ograniczeniom ponosząc tego ogromne koszty – materialne i psychologiczne.

A jak dostosowali się rządzący politycy? J. Kaczyński wjeżdżający na Powązki stał się symbolem lidera, łamiącego reguły, które władza sama ustanowiła i za przestrzeganie których rozlicza oraz karze. Ludzie pytają: jak to, to tak można? Otóż J. Kaczyński nie tylko może, ale wręcz musi tak robić. Pokazuje bowiem w ten sposób, że to on ustanawia reguły, ale im nie podlega! Z tego właśnie wynika legitymizacja jego „władzy bez żadnego trybu”. Celem jest zakomunikowanie, że dysponuje wystarczającą siłą, aby samemu ten „tryb” narzucać. I nie liczą się tu kwestie formalne, instytucjonalne, proceduralne, ani nawet moralne. Liczy się wyłącznie wola i sprawczość: mogę – więc robię. Robię – bo mogę. Żadne oburzenie nie ma znaczenia. I żadne wskazywanie, że czegoś nie dopilnowano lub coś naruszono. Lider jest ponad to i na tym właśnie polega jego władza. Władza łamania reguł i tworzenia chaosu...

Tyle tylko, że **to nie ma nic wspólnego z demokratycznym przywództwem!** Ono zakłada przede wszystkim odpowiedzialność wobec prawa i obowiązek stosowania się do wspólnych reguł. Ta sytuacja – zachowanie J. Kaczyńskiego, ale też gremialne podkreślanie przez licznych jego „gwardianów”, że nic się nie stało, że mógł tak zrobić etc. – pokazuje, jak głęboko zdemoralizowane zostało nasze życie publiczne. Jest to również wymownym symbolem (bo przecież przykładów można przywołać wielokrotnie więcej) kryzysu instytucjonalnego, prawnego, a przede wszystkim moralnego, jakiego obecnie doświadczamy.

Samoorganizujące się społeczeństwo i dysfunkcjonalne państwo

Nie jest jednak tak, że społeczeństwo jest całkowicie pasywne i bezradne w obliczu tych wszystkich kryzysowych, a niekiedy nawet patologicznych zjawisk. Wręcz przeciwnie – bronimy się przeciwko temu. Świadectwem są zwłaszcza różne formy oddolnej samoorganizacji, samopomocy, współdziałania, poświęcenia i aktywności. Czas epidemii pokazał w szczególny sposób, jak potrafimy się zmobilizować i współpracować.

Traktuję te formy aktywności jako swego rodzaju „przeciwciała”, dzięki którym organizm społeczny chroni się przez „kryzysową infekcją” czy też „społeczną sepsą”, a więc zapaścią rujnąjącą nasze życie publiczne. Nawet trudno mówić, że ktoś to planuje, programuje czy też specjalnie kontroluje... To się pojawia spontanicznie jako niewymuszona, ale konieczna reakcja na zjawiska kryzysowe. Inicjatywy pojawiają się niekiedy zupełnie niespodziewanie. A co ciekawsze, zdarza się, że wychodzą z nimi osoby, które nigdy wcześniej tego nie robiły. Jest to świadectwem ogromnych pokładów zdrowego rozsądku, umiaru i wiary w sens obywatelskiej aktywności. To także świadectwo przekonania, że właśnie ten oddolny ruch jest tym, co może – musi nas uratować przed zupełnym popadnięciem w obłęd wielostronnej nienawiści, strachu, izolacji, wrogości...

Świadomość, że przezwyciężenie kryzysu wymaga współpracy, kooperacji, wspierania się wzajemnie jest bardzo silna w społecznościach lokalnych, grupach sąsiedzkich, parafiach, stowarzyszeniach, kręgach samopomocowych itd. Przekracza ona bariery pokoleniowe, terytorialne, nawet klasowe i ideowe. Ujawnia również, jak ogromne jest zapotrzebowanie na liderów społecznych. Ludzi, którzy dostrzegają tę społeczną reakcję obronną, widzą w niej szansę na odbicie od dna – na mobilizację ku wspólnemu działaniu z myślą np. o słabszych, zapomnianych, dyskryminowanych, pomijanych... Którzy stawiają na aktywność grupy, na tworzenie przestrzeni dla pomysłowości, zaradności, rozwijania zdolności adaptacyjnych. I nie boją się myśleć o konieczności włączenia tej energii społecznej w życie państwowe, zaangażowania jej w odbudowę biznesu, a przede wszystkim pamiętają o ważności walki o wolność w sferze publicznej. Istotą tego działania jest: znosić ograniczenia, pokonywać bariery, uwalniać inicjatywę, wspierać działania, mobilizować do aktywności, cenić twórczość... A u podstawy leżą kluczowe wartości: docenianie wolności, szacunek dla innych, otwartość, współczucie i empatia, solidarność z tymi, którzy są w potrzebie. W tym też sensie zjawisko to należy traktować nie tylko jako ruch społeczny, ale też ważny przejaw etycznej odpowiedzialności.

Jakże dramatycznie kontrastuje to z tym, co robi i jak postępuje aktualna władza. Dramatycznie! Istotą jej działania jest: żadnej konsyliacji, lecz wyłącznie narzucanie własnej woli, zastępowanie współpracy narzucanym obowiązkiem wykonania bod groźbą sankcji, zdecydowany prymat własnego interesu oraz nieufność i manifestowanie swojej wyższości, skrywane pod pozorem „troski”. Narzędzia podstawowe

to cały arsenał konfliktów, stygmatyzowanie wybranych grup zawodowych i społecznych, uznawanych aktualnie za wrogie lub nielojalne, napuszczanie jednych na drugich, zastraszanie, kontrola i nadzór, a gdzie się da, to także ograniczanie aktywności i obywatelskich praw. Dzieje się tak, bo każde działanie wolnościowe uderza w klientelizm, w paternalizm, w patriarchyzm, w sieć zależności. Uderza więc w fundament obecnej władzy. To dlatego „instytucjonalne państwo partyjne” robi wiele, aby tego wybuchu społecznej energii, tego nowego, oddolnego solidaryzmu nie widzieć, nie wspierać, wręcz „ukrócić”. Bo to coś, co jest „poza kontrolą”, a więc z definicji jest niebezpieczne.

Tyle tylko, że ta społeczna mobilizacja jest (w znacznym stopniu wymuszona) reakcją na rozmaite dysfunkcje państwa. Państwa, które jest nie tylko niesprawne, ale też niesprawiedliwe, bo w wysoce wybiórczy sposób traktuje poszczególne grupy społeczne i zawodowe.

Zdemoralizowana demokracja jako wstęp do autorytaryzmu

Minione lata naznaczone zostały sekwencją konfliktów i systematycznym osuwaniem się w kryzysy, przy gromkim zapewnianiu, że przecież „damy radę” („wstawania z kolan” już nie będą przywoływać...). Dziś jednak zastony spadają, choć główni aktorzy władzy nadal stosują uniki i zakłęcia. Nadchodzi niezwykle trudny czas, który będzie wymagał od nas współpracy – w kraju między różnymi środowiskami, branżami, klasami, regionami i pokoleniami oraz w wymiarze międzynarodowym, szczególnie w ramach UE.

Niestety, nieprzygotowanie do tego władz i ich mentalna niezdolność oraz niechęć do kooperacji oznacza, że złe scenariusze mogą się z dużym prawdopodobieństwem zrealizować. Albo – już się zaczynają spełniać. Niekiedy jest tak, że ostry konflikt, gdy zostaje przewyciężony, tworzy szanse na jakiś nowy ozdrowieńczy ruch, na nowe otwarcie, na zainicjowanie pozytywnych zmian. Częściej jednak dzieje się odwrotnie – znamy to i z historii, i z obserwacji niektórych współczesnych państw. Tworzy się bowiem sytuacja, gdy system władzy jest zbyt słaby aby generować pozytywne zmiany, uzdrowić społeczne relacje, rozwiązać problemy i przewyciężyć konflikty. Ale jednocześnie zbyt silny, aby upaść, odejść, dopuścić do politycznego przetomu. Wtedy wchodzimy w fazę „społecznej stagflacji” – gnicia systemu.

Istotą tego procesu jest postępująca polityczna korupcja, moralny upadek, egoizm oraz skupienie na ochronie własnych przywilejów przez władzę. Co ważniejsze jednak, w takiej sytuacji karleje nie tylko ona, ale wraz z nią także społeczeństwo. Władza parszywiejąc dba o to, aby „infekować” także różne grupy społeczne, zmuszając je do współdziałania w „popętnianiu grzechu”, czyli mówiąc wprost: moralnie deprawując. Tworzy się wówczas „wspólnota nieczystego sumienia”, w którą wciągane są grupy zawodowe, instytucje, środowiska (także opiniotwórcze) itd. Ileż razy widzieliśmy to w przeszłości i w jak wielu krajach możemy to także zobaczyć dziś? Tylko czy to one są dla nas wzorem?



W takim systemie ponieważ wszyscy są „umoczeni” i współwinni nie ma komu „rzucić” przysłowiowym kamieniem. Czyli nie ma komu powiedzieć: to jest złe. I być w tym mówieniu wiarygodnym. Nie ma komu, bo kluczowym zadaniem takiej gnijącej władzy jest zniszczyć wiarygodność wszystkich wokół. Tylko w ten sposób może ona trwać.

Symptomy tego zjawiska są u nas coraz bardziej widoczne. A perspektywy na przyszłość raczej smutne. Bo tworzony właśnie z ogromną determinacją system władzy w Polsce będzie miał znikome szanse na przezwycięzenie kryzysów, o których była mowa. Za to wielki potencjał generowania konfliktów. I trwania za wszelką cenę. To, że koszty będą dla państwa i społeczeństwa wysokie to rzecz oczywista. Ale dla władzy dość obojętna, jeśli tylko zagwarantuje ona sobie bezkarność.

Oczywiście, nigdy nie jest tak, że wszyscy są zdeprawowani! Miarą siły i odporności społeczeństwa jest to, jak wiele instytucji, grup, środowisk i osób nie ulegnie pokusie uczestnictwa w „gnilnym procesie”. Nie zechce korzystać z profitów, jaki on daje. Ale też podejmie ryzyko poniesienia kosztów braku akcesu. A trzeba mieć świadomość, że taki akces jest oczekiwany i jego odmowa zwykle spotyka się z negatywną reakcją władzy. Dzieje się tak dlatego, że **najgorszym jej wrogiem jest człowiek przyzwoity**. Nie akceptują go także ci wszyscy, którzy ulegli deprawacji. Jest on bowiem wyrzutem sumienia – pokazuje, że można inaczej.

Jednak tylko „federacja przyzwoitych” może zmienić świat dookoła nas. Trzeba ich szukać, skrzykiwać i łączyć. Trzeba dawać wsparcie i budować poczucie, że nie są sami. Takiego właśnie ruchu gnijąca władza boi się najbardziej. Bo on nie tylko obnaża jej moralną marność, ale odbiera również wiarygodność wskazując, że za moralistycznymi „zakłębami” i politycznymi deklaracjami kryje się zwykle przemożna chęć dominacji, a zwłaszcza pragnienie materialnych korzyści.

Jak się to ma do obecnej sytuacji? Daniel Defoe w Dzienniku roku zarazy pisał: „Nie najmniejszym z naszych nieszczęść było niewątpliwie to, że wraz z wygaśnięciem zarazy nie ustał duch walki i swarów, potwarzy i wzajemnych zarzutów, które poprzednio mąciły spokój narodu”.

Myśląc już teraz o naszym „końcu zarazy” możemy mieć niemal pewność, że nie tylko „nie ustanie”, lecz raczej ulegnie wzmożeniu i spotęgowaniu! Epidemia bowiem w najmniejszym stopniu nie sprawiła, że władza zdecydowała się na wyciszenie konfliktów. Wręcz przeciwnie. Tym bardziej należy sądzić, że będzie tak w przyszłości, zwłaszcza jeśli zrealizuje się scenariusz stworzenia w Polsce „dyktatury kopertowej”.

Można śmiało stwierdzić, że **pomysł na „wybory czasu zarazy” jest gwoździem do trumny polskiej demokracji**. Zawsze była dość rachityczna i niedoskonała, ale teraz ulega gwałtownej, spektakularnej demoralizacji. Pokazując przy tym, jak słabo była zakorzeniona w społecznych wyobrażeniach, wartościach i postawach.

Należy bowiem spojrzeć na cały toczący się proces: uniemożliwienie prowadzenia kampanii wyborczej, ale

jednocześnie bez jej przerywania, unieważnienie roli instytucji odpowiedzialnych za wybory, systemowa nierównowaga w dostępie do mediów publicznych, „stanowienie prawa” pod kątem politycznego zapotrzebowania i z naruszeniem obowiązujących przepisów oraz wyroków Trybunału Konstytucyjnego (z czasu gdy jeszcze on nim był), nieprecyzyjność zapisów, delegowanie zadań do instytucji, które są poza demokratyczną kontrolą i poza odpowiedzialnością wyborczą, inicjowanie zmiany prawnej przez osobę, będącą przedstawicielem rządzącego prezydenta, a więc jednego z kandydatów, powierzenie nadzoru nad wyborami politycznemu kompanowi prezydenta itd., itd. Jeśli gdzieś szukać przykładu najbardziej wymownego, który pokazałby jak w jednym zbiega się kryzys polityczny, prawno-ustrojowy z chaosem organizacyjnym i konfliktem społecznym – to szykowane właśnie „wybory prezydenckie” nasuwają się w sposób przemożny.

Jak po takim chaosie będzie wyglądało państwo polskie i jaki będzie jego autorytet? Szykuje się przecież „wybór” przy dramatycznie niskiej frekwencji. A z racji tych wszystkich kuriozalnych i dramatycznych jednocześnie nadużyć, które wymieniono wcześniej, będzie on z definicji „kulawy” jeśli idzie o legitymizację władzy prezydenta. Z pewnością też obrazy wypełnionych skrzynek pocztowych, listonoszy roznoszących „karty do głosowania” czy też mundurowych stojących na zewnątrz i pilnujących „urn” będą powielane w niezliczonych kopiach przez media na całym świecie, pokazujących na jaki to genialny i wyjątkowy sposób wpadło państwo polskie, aby w czasie pandemii wybrać sobie prezydenta! Te zdjęcia będą też w podręcznikach, jako świadectwo systemowego działania degenerującej polską demokrację.

Warto przy tym pamiętać, że podczas referendum w 1946 r. było powiedzonko: „Urna to jest taki pniak, wrzucasz nie – wychodzi tak”. Ale nawet wtedy dbano o choćby pozory demokratycznej procedury z lokalami do głosowania itd. Teraz już widzę, jak pseudo-armia młodych ludzi z WOT będzie dziarnie ochraniać „skrzynie do głosowania”.

Może by i dało się z tego śmiać oraz zrobić wiele memów. Ale przecież mówimy o naszym państwie. Jaki będzie jego autorytet bo takiej „akcji”? Kto będzie nas traktował poważnie? I czy naprawdę nie sądzimy, że nie brakuje takich, którzy z radością przyglądają się temu gigantycznemu chaosowi i konfliktowi, jaki sobie właśnie fundujemy? Czy aż tak kiepsko z naszą polityczną wyobraźnią?

W dodatku aktualnie rządzący pracy do wyborów stawiają obywateli w sytuacji, gdy cokolwiek zrobią popełnią błąd. Jeśli wezmą udział w wyborach będą legitymizowali akt, który toczy się przy naruszeniu reguł prawnych i dobrych obyczajów. Jeśli jednak nie wezmą udziału to z automatu oddadzą władzę w ręce osoby tej władzy niegodnej. W dodatku każdy został postawiony w sytuacji, gdy musi rozstrzygnąć: czy wywiązać się z obowiązku obywatelskiego, czy dbać o swoje zdrowie i życie? Piekielna alternatywa, która dodatkowo rujnuje i tak niskie zaufanie do państwa.

Z tego też względu należy więc mocno zapytać: kto dał państwu prawo do stawiania obywateli wobec tego typu dylematów? Co to ma wspólnego z regułami demokratycznego państwa prawa? Z normami,



Tyle tylko, że hossa się skończyła. Zasobów nie ma, a wręcz przeciwnie – będzie trzeba ciąć i odbierać już przyznane przywileje. Można oczywiście zadbać o to, aby „nasi” dostali odpowiednie wsparcie i nadto nie ucierpieli, ale to jeszcze bardziej pogłębi podziały. Efekt będzie więc odwrotny – legitymizacja systemu władzy jeszcze osłabnie. „Sprawdzony” dotychczas mechanizm „klientelizacji” pokazuje właśnie swoje podstawowe ograniczenie. On w pewnym stopniu sprawdza się w dobrych, sytych czasach. Gdy przychodzi kryzys może pogрузić każdą władzę.

2. Drugi scenariusz, do którego chętnie sięgają różne reżimy, polega na tym, że władza decyduje się na „**to samo, ale jeszcze bardziej**”. Oznaczałoby to np. powtórzenie manewru wyborczego, czyli zorganizowanie kolejnych „aktów demokratycznych”, tworząc tym samym namiastki rytuału legitymizacji. Problem tylko w tym, że zaufanie jest już tak zrujnowane, że niewielu da się nabrać na „nowe otwarcie”. Wiedza o historii i znajomość sytuacji współczesnej udowadniają, że w zasadzie nigdzie się to na dłuższą metę nie udało. Choć niekiedy dawało „prolongatę czasową”. Ale nic więcej. Efekt też był taki, że kraj musiał się podnosić z jeszcze większego upadku. I jeszcze dłużej.

Poza tym jeśli reguły wyborcze zostają raz dramatycznie wykoślawione to taki ruch „wchodzi w nawyk”. W związku z tym każde następne wybory odbywają się wedle warunków, które to władza będzie uznawała za spełniające standard demokratyczny. Oczywiście, jej standard.

Wniosek jest jeden – po tak zdemoralizowanych wyborach prezydenckich żadne następne, przygotowywane przez tę władzę, demokratycznymi już nie będą! A nawet gdyby bardzo się starali, niewielu w to uwierzy (poza ich wyznawcami, oczywiście).

3. Taki „**powrót do demokracji**” mógłby być trzecim scenariuszem przezwyciężenia kryzysu. Można przecież podjąć wysiłek odbudowy wspólnoty obywatelskiej i uruchomienia procesu demokratycznego, np. poprzez coś na kształt „okrągłego stołu 2.0”. Tyle tylko, że tej władzy nazbyt wielu już nie zaufa. Ważniejsze jednak jest to, że zupełnie na tym nie zależy! Wręcz przeciwnie – dla niej kompromis to kompromitacja. Bo przecież gdyby chciała to już teraz mogłaby zadbać o wiarygodność i rzetelność procesu wyborczego. Ale tego nie robi. Świadomie i celowo.

4. Dzieje się tak dlatego, że ta władza weszła na trajektorię prowadzącą do wykorzystania najczęstszego narzędzia wszystkich reżimów autorytarnych, które są pozbawione legitymizacji. Otóż wymuszają one posłuszeństwo **siłą oraz przemocą** – i to jest czwarty scenariusz. Najgorszy i najbardziej prawdopodobny.

Ta siła może mieć różny charakter, ale zawsze w ostateczności przybiera ona formę przemocy. Początkowo może to oznaczać różne ograniczenia, kontrolę, nadzór, limitowanie aktywności itd. Już się to w dużej mierze dzieje (dość przywołać prawo o zgromadzeniach czy też rozszerzane uprawnienia do inwigilacji). Ale w sytuacji oporu i kontestacji – a te są nieuniknione, zwłaszcza przy pogłębiających się problemach ekonomicznych – rośnie skłonność władzy do stosowania rozwiązań policyjnych, aż do użycia przemocy

fizycznej włącznie. Sprzyjać temu może np. wprowadzenie stanu wyjątkowego, który zwalnia w dużej mierze władzę z odpowiedzialności (a już dzisiaj jest wiele przepisów, które gwarantują bezkarność, choćby w ustawie o prokuraturze).

W moim przekonaniu rządzący w Polsce już przekroczyli mentalną granicę, poza którą kluczowe jest przekonanie, że władzy należy bronić wszelkimi środkami. Ono stanie się źródłem wszystkich aktów przemocy, do których ta władza jest już gotowa. Świadczy też o tym, że właśnie następuje definitywne rozstanie z modelem demokratycznego państwa prawa, którego istotą jest możliwość zmiany władzy.

Oczywiście, nie należy mieć złudzeń i trzeba przyjąć, że zawsze znajdzie się wielu takich, którzy **uznają kierowanie się siłą oraz użycie przemocy za dobre, pożądane, konieczne i moralne usprawiedliwione**, a w związku z tym przyklasną temu. Z pewnością owo używanie siły nie będzie od razu w dużej skali, ale granica będzie stale przesuwana. W każdym następnym krytycznym momencie będzie dochodziło do eskalacji w użyciu środków, które aparat władzy ma do dyspozycji. Krok po kroku... Logika takiego procesu jest nieubłagana. I prowadzi do dramatu.

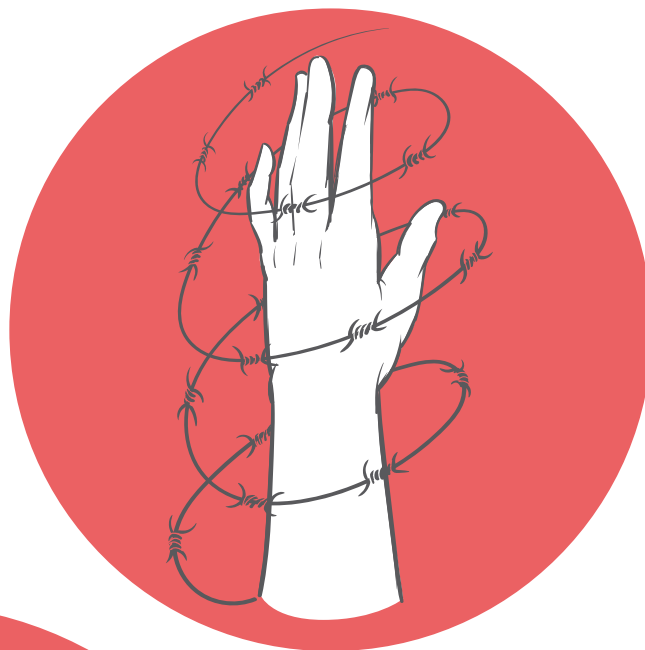
Niestety, trzeba mówić o tym głośno: jeśli obecna władza bezwzględnie przejdzie do „wyborów pandemicznych”, nie zważając na ograniczenia prawne, trudności organizacyjne, ryzyko zdrowotne, eskalację konfliktu politycznego itd., to znaczy, że **może ona zrobić wszystko**. W sytuacji zaś, gdy pogłębi się kryzys ekonomiczny przypomnimy sobie z całą mocą dawną prawdę, że **władza, która jest nieefektywna, ale nie zamierza odejść, staje się z konieczności władzą opresyjną**. Ta zaś tym chętniej będzie się taką stawiała i tym bardziej będzie zdeterminowana w używaniu przemocy im mocniej będzie musiała chronić swoje indywidualne i grupowe przywileje (materialne, związane z dostępem do informacji, dające poczucie prestiżu, wyższości i ważności), a zwłaszcza im bardziej będzie pożądana gwarancji bezkarności.

Instrumentarium zła - wypróbowane i gotowe

Ewolucja ku przemocy jest wielce prawdopodobna także z tego względu, że „instrumentarium zła” jest gotowe, nadaje się do użytku, a co więcej - często zostało już sprawdzone i przetestowane. Od lat praktykujemy instytucjonalną przemoc prawną w jej różnych formach:

- nadużywanie prawa,
- nie przestrzeganie prawa (ignorowanie wyroków sądów, także tych najważniejszych w Polsce i Europie),
- uchwalanie prawa z... naruszeniem prawa (np. zmiana przepisów wyborczych),
- konfliktowanie instytucji prawnych, ich dyskredytowanie, a niekiedy także zawłaszczanie i ośmieszanie.

W ten sposób tworzy się chaos, wykorzystując niskie kompetencje prawne Polaków, ich nieznaną prawo i procedur. Podważa się tym samym zaufanie do prawa oraz do instytucji związanych z wymiarem sprawiedliwości. Wszystko to zaś wyłącznie po to, aby jedynym ośrodkiem mogącym rozstrzygać, co jest prawne, a co jest bezprawne stała się władza polityczna. Oczywiście, nie trzeba dodawać, że nie ma nic to



stanowisko wyrazić właściwie tylko poprzez badania opinii publicznej.

Jednak ta władza **całkowicie to ignoruje**. Całkowicie! Trudno o czytelniejszy sygnał dokonującego się właśnie **zwrotu ku autorytaryzmowi**. Wydaje się, że obecnie rządzący uznali, iż demokracja w jej dotychczasowym kształcie ma swój kres. Odeszliśmy więc od modelu, w którym istotą mechanizmu politycznego było pokojowe i negocjacyjne rozwiązywanie społecznych konfliktów (jeśli jest wiele racji dyskutujemy i szukamy rozwiązania). Obecnie jesteśmy na etapie, że nawet jeśli jest wiele racji, to tylko jedni mają „rację prawdziwą”, a w każdym razie mają wystarczającą moc, aby tę właśnie rację realizować. Za wszelką cenę i wbrew wszystkiemu.

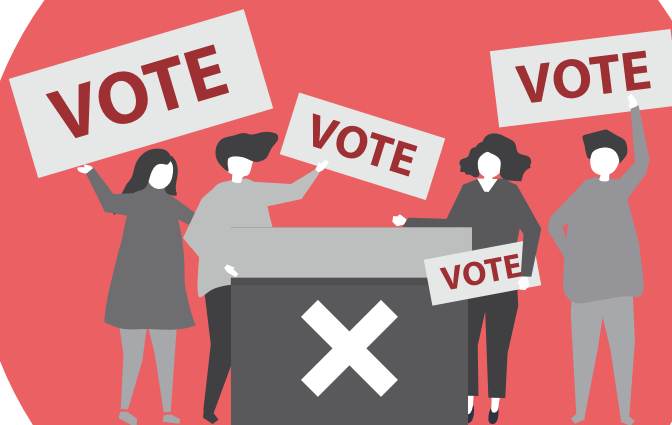
Ale za progiem już jest model, w którym tylko jeden ma prawo mieć rację, a kto ją podważa podlega karze. Ten system opiera się na wyrachowanej bezwzględności i amoralnej lojalności. Ale z drugiej strony prowokuje do skrajnych zachowań w oporze – bo odbiera wszelkie inne narzędzia wyrażania sprzeciwu, artykułowania odrębnych poglądów, reprezentowania interesów. Jednocześnie te akty oporu władza wykorzystuje, aby jeszcze bardziej ograniczyć prawa obywatelskie. To obłądana logika radykalizacji! Przemoc staje się wtedy dopuszczalną opcją. Niekiedy – jedyną.

To nie jest odległa perspektywa! **Kluczowe decyzje zapadają właśnie teraz**. Obozowi rządzącemu idzie o to, aby właśnie takie dziwaczne wybory, które nam fundują, uznać nie tylko za możliwe, ale wręcz za normalne. Aby wszyscy przyzwyczaili się do tego, że można „na chybcika” i w chaosie prawnym takie wybory przeprowadzić. A skoro raz „przeszło”, to dlaczego w jakimś innym wariacie tego nie powtórzyć? Idzie więc o to, aby nie było żadnych reguł. Aby system był doskonale plastyczny, dostosowujący się do oczekiwań tych, którzy będą odtąd określali jakie wybory są dopuszczalne. Nie może być żadnych ograniczeń – prawnych, czasowych, proceduralnych, instytucjonalnych, lokalowych, osobowych (np. dotyczących tego, komu się odbiera możliwość realnego uczestnictwa w wyborach). **Liczy się wyłącznie wola i decyzja władzy**. Co z tego, że nie ma jeszcze stosownych przepisów prawnych? No nie ma... Ale jest wola, aby coś zrobić. I to wystarczy. W ten sposób wola zastępuje prawo.

Jeśli jednak tak się stanie to znajdziemy się w sytuacji, **gdy rzeczy straszne okażą się możliwe, dopuszczalne i akceptowalne**. Nie będą wywoływały reakcji, wstrząsu i sprzeciwu. A wręcz przeciwnie.

Jeszcze raz podkreślę – demokracje upadają przy aplauzie tłumów. I przy milczeniu przerażonych, obojętnych, biernych...

Jednak na ten upadek nie jesteśmy skazani, choć władza prze do niego z ogromną determinacją. Zrównoważyć ją musi determinacja tych, którzy są świadomi wagi stawki o jaką gramy. Którzy wiedzą, że to dziś rozstrzyga się nasza przyszłość. I którzy potrafią się zmobilizować – do pracy i oporu.



O autorze:

Cezary Obracht-Prondzyński, prof. dr hab., socjolog, historyk i antropolog, Instytut Socjologii Uniwersytetu Gdańskiego; prezes Instytutu Kaszubskiego.

Kontakt: cezaryop01@gmail.com